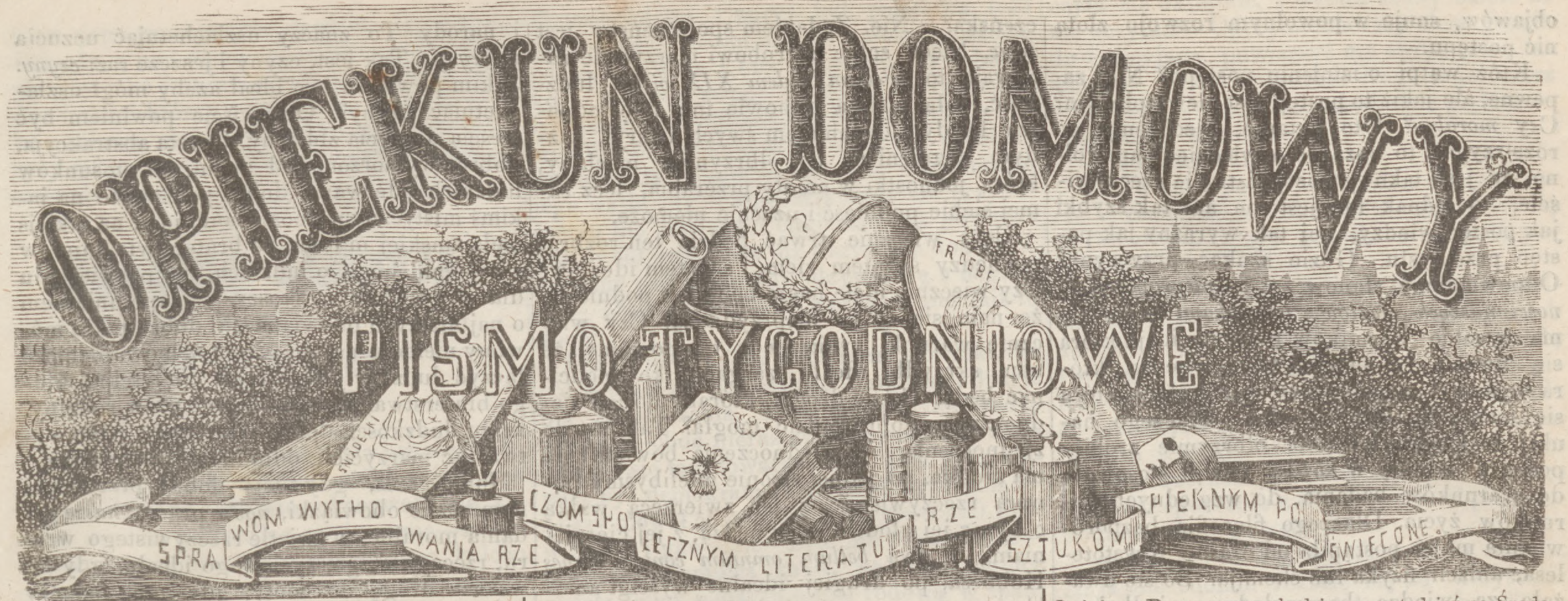
Nr. 29. Warszawa, dnia 4 (16) Lipca 1873 roku. ROK IX.—SERYJA 3-cia.

OPIEKUN DOMOWY

PISMO TYGODNIOWE



CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

W Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:	
rocznie	rs. 3 kop. 60	rocznie	rs. 5
półrocznie	rs. 1 „ 80	półrocznie	„ 2 kop. 50
kwartalnie	„ 90	w Austryi rocznie	9 guldenów
miesięcznie	„ 30	w Prusach „	5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u Czapińskiego (daw. księg. Rychtera); we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; *w Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego.

Numer pojedyńczy kop. 10.

WARUNKI ŻYCIA.

Ileż razy nie mówiono już i nie pisano, że właściwym źródłem, wielu, bardzo wielu błędów, ba nawet klęsk społecznych, jest fałszywe lub niedostateczne *wychowanie*. Uwadze takiej można wprawdzie zarzucić, że w życiu każdego człowieka więcej decyduje późniejsze otoczenie, pożycie z ludźmi, w złym lub dobrym towarzystwie, aniżeli pierwotne jego wychowanie; ale spostrzeżenie to bynajmniej nieodejmuje wagi pierwszemu, czyż bowiem, owe złe towarzystwa, również nie ze złego powstały wychowania? W części przynajmniej niewątpliwie tak być musiało. Ale ktoby chciał utrzymywać, że teoretyczne uznanie tej prawdy, a nawet najusilniejsze starania mające na celu usunięcie błędów wychowawczych, zdołają całkowicie wyrugować pierwiastki rozstroju ze społecznego organizmu, tchnąć weń życie nowe, siły nowe, stworzyć na ziemi ideał moralnego dobrobytu, ten oczywiście przeceniałby doniosłość wychowania. Są w organizmach społecznych straszliwe potęgi, które pętają jednostki w kajdany potrzeb fizycznych i walka o byt, walka o chleb, zawsze i wszędzie góruje nad potrzebami ducha, wywyższa jednych, przygnębia drugich, tworząc proletaryjat, nędzę, głód, zbrodnie. Niewidziano myślicieli tam gdzie niebyło chleba. Jakże słaba wydałaby się moralność nie jednego z tych szanownych obywateli, nie jednej z tych uczciwych kobiet które najlepszą cieszą się opiniją, gdyby los złowrogi dał im do pokonania nieco cięższe warunki, nieco silniejsze pokusy do odparcia! Wychowanie dając człowiekowi siłę, winno pamiętać o tym, że ta siła, ta niezaprzeczana potęga prędzej czy później znaleść się może w obec innej siły, w obec siły która nic wspólnego nie ma z wychowaniem, która istniała przed nim i cięży nad nim jak miecz Damoklesa— tą drugą potęgą są *warunki życia*. Cała historyja ludzkości jest rezultatem wzajemnej wymiany pomiędzy siłami człowieka i siłami warunków życiowych. Postęp, przejawiający się, z jednej strony: w coraz to rozleglejszym poznawaniu tych warunków, z drugiej w coraz to większym panowaniu nad niemi człowieka, dąży niezaprz czenie, do takiego zrównoważenia obu działaczy: wewnętrznego i zewnętrznego, jakie najlepiej odpowiada odwiecznym ideałom ludzkości, dającym się sprowadzić do jednego—do ideału szczęścia. Chociaż bowiem pomiędzy dążeniami dzikich ludów a dążeniami najwyżej rozwiniętych genijuszów nauki i sztuki, można przeprowadzić rozległą skalę najróżnorodniejszych celów i pragnień, to jednak nieulega wątpliwości, że jedni i drudzy, najniżsi i najwyżsi w tych swoich brutalnych lub podniosłych dążeniach, szukają zawsze zadowolenia, materyjalnej lub moralnej korzyści, roskoszy, szczęścia. I nie może być inaczej. Musimy uznać fakt, za fakt, musimy przyznać, że jedno prawo ogólne obejmuje w człowieku wszystkie inne szczegółowe, że należy mu się ono z samej natury rzeczy, jako powszechne, niezaprzeczone *prawo do szczęścia*.

Ale samo uznanie takiego prawa znaczy jeszcze tak mało dla życia społeczeństw, jak uznanie idei za ideję. Cel bez środków, pozostanie zawsze marzeniem tylko. Szukajmyż środków.

Gdyby doskonałość człowieka i szczęście jednostek, zależały jedynie od zbliżania się ku ideałowi, przez idealne stopnie rozwoju, bylibyśmy u celu od wieków. Czytając starożytnych filozofów pedagogów znajdujemy tak wiele myśli podniosłych, tak mało różnych od tych jakie nas dziś ożywiają, że wychowany według nich człowiek oddawna by już osiągnął stopień moralnej doskonałości, gdyby... ale tu właśnie zaczepiamy o rdzeń kwestyi, gdyby rozwój zaszczepianych idei nie zależał od *warunków organizacyi*, a rozwój udoskonalonej organizacyi od *warunków otoczenia*. Tu dopiero spostrzegamy ową walkę sił wewnętrznych z zewnętrznemi, która nieskończonym szeregiem

ŚLADY ŻYCIA.

XXIX.

Tyle życia, ile.. w czynie.

Z okoliczności zamknięcia roku szkolnego zwiedziliśmy niedawno dwa zakłady godne jaknajgorętszego uznania i poparcia.

Dnia 24 Czerwca r. b. byliśmy mianowicie świadkami zamknięcia roku szkolnego w Instytucie moralnie zaniedbanych dzieci w Mokotowie, zaś 30 t. m. przypatrywaliśmy się popisowi uczniów i uczenic w Instytucie głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie. W pierwszym z tych zakładów potrzeba naprawiać to co przez zaniedbanie lub niemożność rodziców ma się z czasem w wielkie zło wyrodzić, w drugim, powołując na pomoc środki, na jakie, rozum, miłość bliźniego i miłość pracy mozolnej a cichej, zdobyć się może, potrzeba to nagrodzić, czego natura głuchoniemym i ociemniałym odmówiła, pozostawiając ich w odosobnieniu od społeczeństwa, odejmując możność zapracowania na siebie.

Instytut moralnie zaniedbanych dzieci w Mokotowie, bardzo nędznie uposażony, pomimo usilnych starań przewodników, pomimo pracy miejscowego nauczyciela godnej pochwały i szczerej podzięki nie może się rozwinąć tak jak tego życzyćby należało. Z tym wszystkim w miarę środków jakiemi rozporządza jest to zakład wzorowy, a kształcenie dzieci w rzemiosłach za najwyższą potrzeba policzyć mu zasługę. Co do Instytutu głuchoniemych i ociemniałych ten doszedł już chyba do najwyższego punktu rozwoju i ulepszeń, a powiedzieć to możemy tym pewniej, żeśmy go poznali gruntownie, kilkakrotnie zwiedzili w ciągu roku, oglądali warsztaty, a wreszcie byliśmy świadkami dorocznych egzaminów i w końcu popisu.

Popis ten trwał dosyć długo, bo 3-i godziny prawie, pomimo to jednakże publiczność w ciągłym pozostawała zajęciu. Głuchoniemi egzaminowani byli z religii, mowy, historyi powszechnej, historyi polskiej, rosyjskiej i nauk przyrodzonych—ociemniali popisywali się z muzyką instrumentalną i wokalną zbiorowo i pojedynczo, a także z deklamacyją. Postępy wychowańców wprowadzały nas w zdumienie. Głuchoniemi zapytywani mową odpowiadali mową i miganiem, a wymowa niektórych była zupełnie znośna i w ogóle znacznie lepsza od wymowy dziewcząt najczęściej niezrozumiałej prawie.

Oprócz strony naukowej zakład stara się także o praktyczne uzdolnienie wychowańców. Chłopcy głuchoniemi uczą się rzemiosł, jak drukarstwa, wyplatania trzciną, szczotkarstwa i t. p. dziewczęta robót kobiecych, ociemniali muzyki. To też kiedy większa część głuchoniemych i ślepych za granicą po opuszczeniu zakładu, trudni się żebraniną u nas stanowczo taki wypadek nie ma i nie może mieć miejsca. W razie bowiem gdyby b. wychowaniec Instytutu nie potrafił

objawów, snuje w powolnym rozwoju złotą nić postępu.

Któż wątpi o istnieniu postępu? Nikt zapewne, ale jakiż to postęp jest niewątpliwym? Czy *moralny*? Oto pytanie. Niechcemy go rozstrzygać, to wszakże powiedzieć nam wolno, że jeśli takowy postęp istnieje rzeczywiście, to jednak nie jest on ani tak szybki jak postęp wiedzy, ani tak wyraźny jak postęp przemysłu. Gdzie szukać przyczyny? Odpowiadamy stanowczo: w *nieproporcyjalności naszych ideałów z warunkami życia.* Nie ma w sobie warunków postępu ideja która się uważa za bezwzględną, wiedza która się uważa za bezwzględną, moralność która się uważa za bezwzględną. Dlaczego nauki doświadczalne, tak olbrzymie zrobiły postępy? bo się w każdej chwili stosowały do warunków badania, do względnych warunków życia. Dlaczego filozofija bezporównania mniej postąpiła od czasów Arystotelesa, aniżeli fizyka lub chemija? Bo się uważała za wiedzę bezwzględną, niedbającą o drobnostki codziennego życia. Dlaczego wreszcie zasady moralne tak dawno uznane za najwyższe, najszlachetniejsze, tak mało jednak przeszły w krew i w życie jednostek i narodów? Bo zasady te moralne, bo owe podniosłe ideały, istniały tylko w sferze duchów, w sferze pobożnych życzeń, bo niebyło w nich nic, coby je łączyło z rzeczywistemi warunkami życia, coby im przejście w rzeczywistość ułatwiło.

Któż mógł kiedykolwiek, rzeczywiście *kochać* nieprzyjaciół swoich, kto mógł oddawać chlebem tym którzy nań rzucali kamieniem? Czy choćby ci których uważano za najgorliwszych przedstawicieli tej idei, za jej rozkrzewiaczy?. Sam Kościół, dawałże dowody, podobnego zaparcia, podobnego przenicowania natury ludzkiej?

Czym odpowiadał na napaści niewiernych? Mieczem. Co oddawał wzamian heretykom którzy nań rzucali kamieniem?—Klątwę.

Zarzuci ktoś może, że w czasach pierwotnych Chrześcijaństwa, mieliśmy podniosłe wzory prawdziwego zaparcia się, prawdziwie stoickiej śmierci, prawdziwie Chrystusowego męczeństwa bez złorzeczeń. Prawda; ale czyż wzory te przeszły w życie społeczeństw, czy mogły w nie przejść, czy wreszcie w tej wyjątkowej formie przejść w nie powinny? Czyż zadaniem społeczeństw jest śmierć męczeńska?.. Nie. Zadaniem społeczeństw jest *życie.* Niech sobie zagrobowi marzyciele nazywają to *wielkim błędem XIX wieku,* ludzkość, całą piersią odpowie im: żyję! odpowie każdym drgnieniem swych arteryi, każdym drgnieniem tej olbrzymiej machiny, która jednostki w anioły przerabia, lecz samej siebie podnieść i uzacnić niemoże.

Czyż wiecznie trwać będzie ten rozbrat pomiędzy światem ziemi i światem ideałów? Czy wiecznie ideje nasze będą tak podniosłe, że nam się na nic nieprzydadzą? Czy wiecznie warunki życia będą tak poziome, że nam skrzydła ideału szargać tylko i podcinać będą? Gdzie droga, któraby do ich zjednoczenia doprowadzić mogła? Tak jest do zjednoczenia, bez zjednoczenia bowiem nie ma środka, po jednej stronie mielibyśmy ponurą rzeczywistość, z jej zwierzęcą walką o byt, z jej głodem, z jej nędzą, z jej cierpieniami, z ową *bellum omnium contra omnes* Hobbesa, po drugiej idealne wyścigi aniołów, egztatyczne westchnienia, śpiewy serafinów, roskosze bez końca, w próżniactwie, w marzeniu, w niedołęstwie, w poddaństwie, w zatraceniu indywidualności na rzecz bóstwa. Tam tylko walka, tu tylko spokój; tam tylko chleb, tu tylko marzenia; tam tylko śmierć w bezmyślnej walce, tu tylko życie w bezmyslnym spokoju. Nie! te drogi nie dla nas. Jednę zostawmy zwierzętom, drugą aniołom; szukajmy trzeciej.

Chcemy żyć. Chcemy żyć na ziemi. Chcemy żyć na ziemi jak ludziom przystoi.

Mamy ideały w myśli, chcemy je miec w czynach. Czyn znajduje opór w warunkach życia. Warunki niedają się usunąć, ale ideją niedaje się zniszczyć. Co zrobić? Czy zniżyć ideały do warunków czy warunki podnieść do ideału? A najprzód *czy możemy* podnosić warunki? Czy godzi się zniżać ideały? Na pierwsze pytanie odpowiada historyja: *możemy.* Dość porównać warunki bytu naszych dzikich praojców, którym życie spływało na ochronie od zwierząt i burzy i na wyszukiwaniu pokarmu, z naszemi dzisiejszemi warunkami, które nie jednemu z nas pozwalają żyć dla wiedzy tylko, lub dla sztuki tylko.

Ale gdzież odpowiedź na drugie pytanie? Czy godzi się zniżać ideały? Spytajmy najprzód: do czego mają służyć ideały? Do uszlachetnienia jednostek i narodów. Na to zgoda. Co to znaczy uszlachetniać jednostki i narody. To znaczy uszlachetniać uczucia i.. *czyny.* Tak jest, czyny i jeszcze raz: *czyny.* Jakim powinien być ideał ażeby mógł uszlachetniać czyny? Oczywiście powiniem być treścią do życia zbliżony. Czysta abstrakcyja, dobro wymorzone od ziemi, od stosunków ludzkich oderwane, dobro polegające na jakimś mistycznym ubóstwianiu idei, na jakiejś nadziemskiej miłości, na braterstwie aniołów z zapomnieniem o ludziach, na poświęceniu dla przyszłych roskoszy z zapomnieniem o najbliższych obowiązkach, dobro takie mówimy niemoże uszlachetniać czynów, niemoże łączyć ludzi w jeden węzeł chrześcijańskiego braterstwa, niemoże bronić praw rodziny, kraju, ludzkości, dobro takie może tylko wytwarzać marzycieli, odludków, próżniaków.

Inna rzecz, gdy ideja dobra przedstawi nam *nasze* obowiązki, *nasze* prace, *nasze* zadania moralne, w świetle rzeczywistego wzoru, rzeczywistego, życiowego ideału; gdy mi wskaże drogę do cnoty, gdy mnie nauczy kochać bliźnich, szanować zacność i zasługę, być wdzięcznym za pomoc, być wytrwałym w pracy, uczciwym w stosunkach, wyrozumiałym dla niewdzięcznych, uczynnym dla słabszych. Gdy mi wskaże nagrodę za te czyny w szacunku u ludzi i w spokojności sumienia. Takie dobro nieodwróci oczu moich od braci, nieodciągnie mnie od najświętszych obowiązków dziecka, męża, ojca, obywatela: poczucie takiego dobra może uzacnić moje czyny, bo samo w sobie, w swojej treści, ma pierwiastki życia rzeczywistego, życia *naszego.*

A teraz pytamy: jestże profanacyją, *takie* zniżenie ideału? Nie jestże ono koniecznym, niezbędnym warunkiem, dla wartości samego ideału, dla jego moralnego znaczenia?

Kto nigdy nie czuł życiowego tętna ludzkości, niech odpowie przecząco. Dla nas nie ma wahania. Musimy ideały nasze zniżać do warunków życia, a warunki życia podnosić do stopnia ideału. Musimy przestać marzyć o niebie dla nieba, a zacząć myśleć o niebie dla ziemi. Niech wychowawcy nasi pamiętają, że kształcą ciała i dusze dla życia, dla obowiązków; że wychowaniec ich pójdzie między ludzi, że los rzucić go może między ciężkie warunki życia, warunki otoczenia; że w tych zapasach z losem i przeciwnościami, tylko wtedy potrafi się utrzymać na stanowisku godnym człowieka, jeśli jego chara-

---

gdzieindziej wynaleść sobie zajęcia, może je w każdym razie otrzymać w warsztatach Instytu. Drukarnia jaka wkrótce otwartą zostanie da możność stałego zarobkowania dla kilkunastu znowu głuchoniemych. Ale co szczególniej uwagę naszę na przytoczonym popisie zwróciło, to niezmordowana praca Szanownego Dyrektora Papłońskiego, i zacne usiłowania wszystkich nauczycieli. Zawód pedagoga pojęli oni sercem, a wykonywają biegle i umiejętnie. Miło też popatrzeć z jaką szczerą miłością i zaufaniem garną się biedne upośledzone od natury istoty do swoich przewodników, jak ich witają uśmiechem wesela, jak okazują przywiązanie na każdym kroku. Chociaż więc, w owocach swej pracy i powszechnym szacunku znajdują już dostateczne dowody uznania, my nie możemy się powstrzymać od serdecznej podzięki za wytrwałą, uczciwą i mozolną pracę dla dobra nieszczęśliwych.

* *

Nikt nie wątpi o handlowym sprycie pewnej części naszych braci żydków. Do handlu zbożem wełną, towarami, książką i t. d., przybył im jeszcze jeden rodzaj przemysłu. Skoro tylko afisze teatru letniego zapowiedzą jakąś lepszą sztukę, już do kasy docisnąć się niepodobna. Pełno izraelitów otacza ją jakby żelaznym pasem. Niechno dostanie się do środka ktoś dla tych panów niepożądany, boki nieszczęśliwe. Darmo łokciami bronisz się na wszystkie strony, kółko ściesnia się coraz szczelniej, kapelusz spada ci z głowy, gniotą cię z przodu, z tyłu, z boków... Ozyżby zapał dla sztuki tak rozgrzewał tych ludzi. Niech Bóg broni na przedstawieniu nie spotykasz owych figur tak pełnych wojowniczego ducha, tak natarczywie cisnących się po bilety do okna kasyjera. Zysk to zwabia tak liczne zastępy, Bilety kupują się rano, a odprzedają po południu za wyższą ma się rozumieć cenę. Widać Wiedeń nauczył tego procederu, dotąd u nas na taką przynajmniej skalę niepraktykowanego.

Winnaby zwrócić uwagę stosowna władza choć na to ostatnie nadużycie, boć niepodobna walczyć na boksy, aby zdobyć bilet do teatru i dawać zarobek przekupniom za to, że kogoś innego rankiem wyszturchali i pognietli.

* *

We wtorek (8-go lipca) przedstawiano w Alhambrze dramat Feuilleta w 7-iu obrazach p. t. „Miłość ubogiego". Przestarzały ten choć niezupełnie bezbarwny utwór, ma być wkrótce wystawiony po raz pierwszy i na miejscowej scenie letniego teatru. Jestto ni mniej ni więcej, jak przeróbka powieści tegoż autora p. t. „Roman d'un jene-homme pauvre", nacechowanej romantyczną przesadą w szczegółach, oraz opromieniającym całość i wywołującym jaskrawe efekty średniowiecznym niemal a pofrancusku pojętym uczuciem honoru. Ubogim młodzianem był na deskach Alhambry p. Trapszo; główną rolę kobiecą przyjęła na siebie p. Sochaczewska. Artystki tej nie mieliśmy dotąd sposobności ocenić. Ostatni występ wróży w niej, naszym zdaniem, dzielną przedstawicielkę sceny w patetycznych rolach wyższego dramatu. Uwydatnienie psychicznej walki między uczuciem dumy i miłości, będące głównym warunkiem przyjętej roli,—dzięki starannemu cieniowaniu głosu i szlachetnej gospodarce ruchów, prawie zupełnie się jej powiodło. Jeślibyśmy p. Sochaczewskiej cokolwiek zarzucić mogli, to chyba niezbyt czystą pronuncyjacyją niektórych spółgłosek, a w szczególności płynnej *l*, upodobnianej niekiedy rażąco, śród

kter, jego przekonania, jego ideały, z życia wzrosły, z nad ziemi, która go karmi podniosły się jako jutrznia moralnego światła między ludźmi którzy go otaczają, znalazły próbę ogniową, próbę doświadczenia, jeśli zdobyły sobie, tu na ziemi, prawo obywatelstwa, *warunki życia.*

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(*Ciąg dalszy*).

Flora Fufałkiewiczowa była już niemłodą wcale, jednak o tym tylko mógł sądzić mąż i garderobiana. Światu ukazywała się zawsze świeża, przystojna co się zowie—z błyszczącemi oczyma nieco niepewnego koloru między piwnym a zielonym—ale ożywionego wyrazu—z cerą białą, rumieńcami szesnastoletniej dzieweczki—usteczkami jak listki róży—ząbkami jak perły — kibicią pełną lecz zręczną i giętką—z śmiałością i swobodą mowy i ruchów, godną paryskiego półświatku, a warszawskiego wielkiego świata.—Ubierała się gustownie i bogato — wielomówstwem i niezrównaną bystrością pokrywała głębsze niedostatki — każdy się bał jej języka, jej wzroku przenikającego przestrzenie—uciekał jeśli mógł—ale schwytany—klnąc w duszy—kłaniał się z słodkim wyrazem pociechy przed nieubłaganą spostrzegawczynią.

Mąż jej, pan Hyjacynt, młody, ładny chłopak — prawdopodobnie przez całe swoje życie nie mógł odgadnąć jakim sposobem został jej małżonkiem. Stało się to w tak pośpiesznym czasie — że ogłuszony, olśniony, zaniemiały pan Hyjacent, od chwili poznania na balu żywej wdówki, nie odetchnął swobodnie, i nie opatrzył się, aż po ślubie. Sama mu się oświadczyła — zarządziła wyekwipowaniem, urządzeniem domu—prezentem ślubnym, nieledwie ubraniem pana młodego i nim on znalazł chwilkę rozwagi i rozmysłu—już była jego żoną.—Flora kochała go prawdziwie—i przed wszystkiemi dawała mu pierwszeństwo swego uczucia—jednak mimo tkliwych starań łaskawej Flory—biedny Hyjacynt z białego, przechodził w barwę coraz żółciejszą — i wiądł nieposlednio u jej boku.

Dziesięcioletni Cypryś był pamiątką tego małżeństwa—matka dumna z niego, pieściła, psuła, całowała i biła na przemiany—dziecko — według swego humoru, który często był zmienny.—Ojciec, trzeba mu oddać sprawiedliwość, że miał wiele dobrych chęci do zajmowania się nim — ale — to przechodziło jego wątłe siły — i poprzestawał na przynoszeniu mu zabawek i cukierków. A gdy rozpustny chłopak nadto już wszystkim dokuczył, łagodny pan Hyjacynt odzywał się z flegmą:

— Mais—mon cher Cypryś — que fait-tu donc?

Pani Flora miała tak liczne stosunki, że pół kraju było jej osobiście znajome, drugie pół ze słyszenia. Dom prowadziła bardzo otwarty—choć nieraz dziwnie mięszane znajdowało się tam towarzystwo. Pan Fufałkiewicz był demokratą z pojęć i urodzenia — i przyjmował chętnie każdego kto umiał grać w wista i gawędzić—byle nie zbyt głośno—pani Hyjacyntowa znów, po dwu mężach wzięła obok majątku dumę rodową w spadku—bo choć byli starzy i nie zachwycającej fizjognomii, należeli jednak do wysokiej sfery społeczeństwa. Kto właściwie była z domu pani tertio voto Fufałkiewiczowa, nikt nie wiedział—ale domyślano się, że jak uroczy kwiat *lotozu* wykwitła z jakiegoś obcego błota. Nie było jednak śmiałka, coby odważył się choćby najmniejszą uczynić do tego aluzyją — każdy czuł, że byłoby to jedno co zadraźnić panterę!

Tutaj to ułożono pomieścić Beatę—w tym domu pełnym zgiełku i chaosu, który był może najbrudniejszym ściekiem brudów towarzyskich. Hrabia Władysław nie cierpiał pani Fufałkiewiczowej —jednak wydało mu się to wybornym dla Beaty projektem. Ponieważ córki nie mieli, a Cypryś nie był do zabaw pretekstem, pani Flora chętnie widziała u siebie młode osoby z prowincyi, lub skądkolwiek przybyłe — które dawały możność nie opuszczania żadnego baliku, i przyjmowania u siebie podwójnej liczby osób. — Przytym niezmiernie lubiła swatać — dopomagać do szczęścia zakochanym — i okazywać czułość swego, również dobrze jak cera, zakonserwowanego serca.

Hrabia Władysław i Gucio, wyczerpywali swój dowcip na zręczne ułożenie intryżki, poruszając wszystkie sposoby. Tymczasem biedna Beata w najwyższej niepewności męczyła się okropnie, i pytała samej siebie co ma uczynić? - Oprzytomniawszy nieco, poszła do Felicyjana, powierzyć mu swoję nową tajemnicę. Felicyjan patrzył długo w jej twarz mimo bólu — pogodną, szlachetnie piękną — i wyszeptał nakoniec.

— Idź Beato!...

— Po co? - po co? — broniła się rozpacznie — czemu mam dobrowolnie skazywać się na torturę?... Czyż uczucie moje prób potrzebuje?

— Siostro moja!... odparł Felicyjan zwolna—kto może zbadać co jest potrzebnym lub niepotrzebnym, co szczęśliwym, a co szkodą i stratą w życiu człowieka!—Wszystko co zależy od człowieka, winien pokonać wolą - ale co przechodzi granicę woli—musi być naznaczonym z góry — i żleby się robiło walcząc przeciw rzeczom nieuchronnym! — Do tego zaliczam spotkanie z twym ojcem—i prawdopodobny twój wyjazd.

— Więc i ty Felicyjanie przeciw mnie!... A! ja nie zdołam rozstać się ze wszystkim co kocham—co jest żywiołem mej duszy!..

— Beato!.. a dla mnie—nędznego kwiatka żyjącego twoją obecnością i wejrzeniem — czyż nie będzie to cios najprzykrzejszy?... A jednak... powtarzam — nie możesz inaczej postąpić.—Jedź! i wracaj...

Smutny to był wieczór — Beata milczała pokonana—Felicyjan osłabiony upadł na poduszki—Maciejowa i reszta rodziny nie wiedząc pryczyny — zarazili się także smutkiem i milczeniem.—Nakoniec—trzeba było odchodzić — Beata powstała ze łzami — Felicyjan ujął ją łagodnie za rękę i rzekł:

— Siostro Beato! — zostań jeszcze kwadrans!...

— Dobrze!.. odpowiedziała wzruszona.

— Byłaś zawsze taką dobrą dla mnie! moje słońce jasne!... Niechże się nacieszę twoim blaskiem i ciepłem... bez ciebie — dla mnie mrok... zimno... pustynia! — Nie płacz! — uśmiechnij się do mnie!..

Beata płakała, wszyscy przytomni nie wiedząc czemu płakali także cicho.

Felicyjan uniósł się nieco, i oparty na ręce drugą trzymając dłoń Beaty — patrzył się w jej oczy z zachwytem nieziemskim.

Jedenasta wybiła — wstrząsł się jak zbudzony.

— Już tylko parę minut!... szepnął z boleścią.

---

patetycznej dykcyi, do twardej *l*. Mamy jednak nadzieję, że tę na pozór nieznaczną— a w gruncie jaskrawą niewłaściwość, pilna uwaga zdolnej artystki zupełnie z czasem usunie.

* * *

Od jednego z lekarzy otrzymaliśmy list następujący:

Szanowny Redaktorze!

I medycyna ma swoich Pinettich, ma cudotwórców.

Kto wie czy w niedalekiej przyszłości nie wyczytamy ogłoszeń o nogach i rękach odrastających w ciągu kilku godzin, o suchotach leczonych radykalnie flaszeczką *piersiowego elixiru*, o maści pokrywającej słoneczne łysiny bujnym włosem.

Do Kazania przybył ludożerca, połykający żywcem prosięta, króliki i koty. Warszawę zaszczycił bytnością p. X., prostujący najkaduczniej wygięte grzbiety. Naiwność ludzka dochodzi nieraz do olbrzymich rozmiarów. Nic pocieszniejszego jak sądy dyletantów opiewających w zachwycie niewidziane i niesłychane cuda!

Pan X. jako dowód swych zwycięztw lecniczych, przedstawia album z fotografijami pacyjentów oraz liczne świadectwa. Gdyby śp. Matysek z pod Opatowa, żył w czasach fotografowanych albumów, kto wie czyby jeszcze bogatszego zbioru redakcyjom pisemek brukowych nie dostarczył. W oczach publiczności postacie tak gorąco protegowane przez prasę wyrastają w olbrzymów. Posłuchajmy zdania p. X. „Nie jestem lekarzem ale szewcem powiada on, mimo to, oświadczam iż po użyciu mojej metody, zginą na zawsze wszelkie choroby chroniczne. Suchoty, skrofuły, cierpienie żołądka, kiszek, wątroby — krzywe nogi, garby przednie i tylne— słowem wszystkie cierpienia trapiące społeczność pójdą precz — ja to zrobię."

„Ludzie dla tego chorują że są głupi, umierają.... że podli. Wszystko to co dotąd robią lekarze djabła warto —„At koniec".

W ten sposób odpowiada pan X. na wszelkie zapytania.

Fotografije jakie przedstawia zdumionym, są to po większej części okazy dzieci lub starszych osób dotkniętych krzywicą —(choroba angielska). Widzieliśmy również kilka obcażeń w formie kolumny kręgowej, kilka okazów wadliwie rozwiniętej klatki piersiowej. Dwie tylko fotografije przedstawiają chorych *wyleczonych*, i to *po wyleczeniu* są owi chorzy przedstawieni w *ubraniu*, stąd nic wnosić nie można o ile wada poprawioną została. Reszta uleczonych według słów pana X. nie *nadesłała* jeszcze swoich fotografii. Oglądaliśmy gorset o ile się daje wykrajany z grubej tektury—pokryty z wierzchu materyją, pod spodem płótnem wyklejony. Gorset zapina się z przodu na sprzączki i paski elastyczne.

Żadnych objaśnień prócz bezsensownych ogólników jako lekarze zyskać nie mogliśmy. Na zapytanie czy podczas zapalenia stawów z opuchnięciem i bolesnością pan X. używa swoich aparatów odpowiedział „wszystko się używa to tajemnica, ja się złapać nie dam i t. d."

Podaliśmy propozycyją czyby pan K. nie zechciał jakiego ubogiego chorego metodą swoją uleczyć —odrzekł iż to kuracyja kosztowna i dla tego pacyjentów przedewszystkim o stan majątkowy zapytuje. Jako warunek leczenia stawia grubą zapłatę i to wyliczoną z góry—a kiedy jeden z obecnych zaproponował że złoży w Banku żądaną kwotę, i pan X. takową po wyleczeniu oddaleby — ortopedysta oburzył się na to. Jakikolwiek system leczenia pan X. posiada, sposób jego postępowania trąci szarlataneryją. — Ortopedyja znaną jest oddawna, posługuje się nią każden chirurg, ale ogłasza dla wiadomości innych,

— Jeśli chcesz!—zostanę!.. zawołała Beata.

— Nie! jedź!—Tylko—po raz ostatni...

Osłabiony osunął się znów na poduszki. Beata podała mu wodę—napił się cokolwiek z jej ręki—i podziękował wejrzeniem — poprawiła posłanie — jak siostra kochająca — Felicyjan powiedział cicho.

— Żegnaj mi aniele boży!.. daj mi jeszcze twoją dłoń ukochaną... A potym — będę już spał cicho jak dziecko utulone przez matkę!..

Przycisnął do ust jej rękę — ona idąc za popędem uczucia siostrzanego, pochyliła się, odgarnęła delikatnie pukle jego włosów — i pocałowała jego blade czoło—i obie przymknięte powieki—jakby je chciała zaczarować do snu dobrego.

— Dobranoc Felicyjajnie! —szepnęła odchodząc.

— Dobranoc Beato!—Ostatni to sen mój— z którego tylko Bóg obudzić mię może! — wyrzekł ledwo słyszanym głosem—i pozostał tak—bez ruchu, blady, spokojny, jak umarły.

Beata i Janowa całą noc niespały — przeczuwająca bliski wyjazd, Beata miała jeszcze wiele do rozporządzenia. Napisała długi list do Emanuela — śliczny, tkliwy list narzeczonej—ale bez wzmianki o wyjeździe. Ale druga ćwiartka papieru — obejmowała całą tajemnicę—zapieczętowawszy ją w kopertę—powierzyła ją Janowej — prosząc aby jeśli trzy tygodnie nie będzie od niej wiadomości żadnej — posłała to Emanuelowi. Równo ze dniem—pojechała do siostry Dolorozy. Zakonnice były na adwentowym nabożeństwie *roratach*. Beata weszła do kościoła. — Mrok napełniał go jeszcze — gdzie niegdzie tylko błyskało światełko w dłoniach pobożnych — tłumne dźwięki organu łączyły się z chórem modlitw—z łagodnem światłem spływającym od ołtarza — z obłokiem wonnych kadzideł—i ogarniały wnętrze kościoła jakimś nieziemskim urokiem — tajemniczym tchnieniem grozy i wielkości. Z ciemności panującej w głębszych zakątkach, wynurzał się niekiedy jak cień fantastyczny—biały ubiór głowy szarytki zamodlonej. Beata owładnięta chęcią modłów — klęknęła, zasyłając gorące słowa świętej podzięki i prośby. Świat zewnętrzny — gwarliwy, hałaśny — brudny— znikł z oczu i pamięci obecnych—między nimi a próżnością nikczemną — było uczucie wznioślejsze—bo duch choć zdala—sięgał do najwyższych sfer—do światłego źródła swego istnienia—do Boga!.. (*d. c. n.*)

Dla Matek.

Ogólne uwagi o chorobach dziecinnych i o pielęgnowaniu chorych dzieci.

(Dalszy ciąg.)

Niemożemy nakreślać ogólnych prawideł, według których można rozpoznać chorobę, nie możemy również przepowiadać naprzód, jaki przebieg ona przybierze, czy będzie ciężką i długą, czy też się szczęśliwie i szybko zakończy wyzdrowieniem. To zależy od konstytucyi dziecka, od jego temperamentu, wrażliwości, stanu odżywiania i t. d. Ale należy pamiętać o tym, że z dzieckiem nigdy za wiele ostrożności i uwagi. Matka śledzić winna najdrobniejsze i małoznaczące na pozór symptomaty, i zdawać z nich sprawę lekarzowi. W chorobach dziecinnych nic może więcéj nie szkodzi jak lekkomyślne zapoznawanie. „To nic ważnego” powtarzają niedoświadczeni, ale później ileż razy pokutują srogo za swoje lekceważenie.

Bywa nieraz że cierpienie jakiekolwiek rozpoczyna się tak niepostrzeżenie, objawy są tak niewyraźne i mało znaczne, iż trudno je nawet zauważyć. Poźniej stan zdrowia raptownie się pogarsza, jedne po drugich systematy przyjmują udział, charakter choroby poczyna być groźnym, zatrważającym. Na odwrót trafiają się przypadki, że choroba w samym początku rozwija się z całą gwałtownością, ale te zjawiska tak zastraszające łagodnieją, słabną, i nareszcie nikną równie szybko jak się pojawiły.

Przyczyną takich zmian raptownych jest jak to już wyżej wspomnieliśmy owa nadmierna wrażliwość i szybka wymiana materyi, dzieciom właściwa. Dla tego też rodzice jak z jednéj strony nie powinni zaniedbywać małych napozór zaburzeń, wiedząc iż mogą być początkiem groźnych następstw, tak znowu nie mają czego rozpaczać i tracić nadziei, przy złośliwym i gwałtownym cierpieniu, bo ono szybko przejść może skoro spokojnie i akuratnie wypełni się co lekarz zaleci. Zwyczaj lekowania dzieci domowemi środkami, należy do najzgubniejszych przesądów.

Publiczność nie może sobie wytłumaczyć nie może zrozumieć téj prawdy, iż dobrze się potrzeba namyśleć czy podanie środka lekarskiego jest rzeczywiście wskazanym, czy ten środek zamiast ulgi pogorszenia nie przyniesie. Zwykle więcej doświadczone matki radzą mniej doświadczonym. Nieraz przechowuje się pod kluczem jakaś cudowna recepta, co takiemu to a takiemu *doskonale zrobiła*. Dziwna nieoględność jeszcze dziwniejsze lekceważenie. Nikt nie pomyśli że osławiony proszek dziecinny (tak zwany troisty) winko emetykowe, przeróżne ulepki, ekstrakt słodowy, a nawet mięta lub rumianek mogą dziecku zaszkodzić. Namiętność do lekowania jest wielu matkom właściwą, trudno się od niej powstrzymać, jak tu nie poradzić jakiegoś specyfika, który kto wie czy nie wyszedł z ręki szarlatana. Ale cóż mówić o matkach, wszakże o tym środku głoszą pochwalne hymny kuryjery, gazety, środek ten leczy wszystko, wynalazca posiada patenty, świadectwa, kpi z całéj medycyny, otacza się cudownością. A ludzie nawet wykształceni ulegają wpływowi blagi chylą czoło przed owczarkiem, wysławiają cuda zręcznego oszusta. Manja lekowania nie jedno dziecko o śmierć przyprawiła. Nikt się niezapyta samego siebie czy rzeczywiście lekarstwo jest potrzebne w danym razie czy może szkodliwe. Łyżeczka magnezyi dodana do mleka, lub szczypta sody, mogą być raz zbawienne, drugi raz wywołać biegunkę. Proszek Hufelanda zalecany przez tego słynnego lekarza, w lekkich zaburzeniach trawienia, nie jest tak niewinnym środkiem jakby się zdawało, zawiera bowiem magnezyją waleryjanę, rumbarbarum i t. d.— Proszek dziecinny Ribkego tak *en masse* podawany niemowlętom zawiera opjum które w miarę użyte uspakaja dziecko, ale może także wywołać odurzenie, rozdrażnienie mózgu i cierpienie serca. Ileż to razy wytrawne piastunki chcąc uspokoić krzykliwe dziecko, posługują się tym proszkiem w dużych dozach, ileż razy tak zwane *bobrowe krople* lub *woda laurowa*, lekarstwa bądź co bądź silnie działające na nerwy są dzieciom podawane pokryjomu, bez wiedzy matki, aby tylko nie mieć kłopotu z kołysaniem, aby nie wstawać w nocy.

W praktyce dziecinnéj rozumny lekarz ucieka się do podawania środków tylko w wypadkach ściśle oznaczonych. Uważa on je za

---

sposoby jakich używa i naukowo je usprawiedliwia.

Kto zaś na sędziów swej umiejętności wzywa literatów, urzędników magistratu i t. d. kto na świadectwo wiarogodności wymaga podpisów ojców i matek—ten staje w rzędzie fabrykantów amerykańskich kropli — powiększa liczbę znachorów, zamawiaczy i t. p. myśliwców polujących na łatwą zwierzynę— co lgnie do blagi jak muchy do lepu.

W średnich wiekach bawili się w medycynę braciszkowie klasztorni —alchemicy i czarodzieje—w roku 1873 bawią się z dobrym skutkiem baby szpitalne, znachorki, owczarze i Kuryjer Warszawski. O sancta simplicitas.

W 24 godzin uleczyć wadę długie lata trwającą, wyprostować skrzywienie kolumny kręgowej, leczyć suchoty płucne i cierpienia wątroby nałożeniem gorsetu i pokładaniem —trzeba być bardzo naiwnym aby uwierzyć podobnym farsom.

Takie drwiny mogą być na czasie w Chinach, ale nigdy w mieście posiadającym uniwersytet. . . i pretensyją do cywilizacyi.

Niechaj pan K. ogłosi swój system, niechaj okaże na żywych przykładach jego rezultaty, pójdziemy się leczyć — a nawet zapłacimy z góry — Inaczej ryzykować grosza nikt nie zechce. *N. N.*

* * *

Szanowny Redaktorze! Pragnąłbym jako interesowany poruszyć w Opiekunie jednę kwestyją którą sądzę, że i Redakcyja za ważną i żywotną uzna. Jakkolwiek rzecz ta więcej przemysłu gospodarczego dotyka, nie mniej jednak, w piśmie waszym podniesioną być może zwłaszcza, że podobne jej nieraz już Redakcyja w „śladach życia” zamieszczała. Chcę tu mówić o przewozie wełny ze stacyi dróg żelaznych w Warszawie do składu Bankowego przy ulicy Nowogrodzkiej. Obecnie odbywa się to na furmankach najmowanych przez producentów, przy tylu jednak trudnościach, niedogodnościach i stratach materyjalnych, iż wartoby o tym pomyśleć i zmienić gdyby się udało. Najęte furmanki z legarami są zupełnie nie odpowiednie do przewożenia wełny w dużych wańtuchach. Szczęśliwy, kto dostanie fury, które oprócz legarów, mają w poprzek ułożone i związane z sobą drągi, inaczej wańtuchy wloką się po bruku i na całej przestrzeni kilko-wiorstowej zostawiają kawałki wełny, a cóż dopiero jeżeli taki transport obleje deszcz tak często w téj porze padający! Widzieliśmy przeszłego roku znaczne partyje wełny i to dobrej—zmoczone, walające się około składu Bankowego, których tenże przyjąć niechciał, jakie zaś to zasobą pociąga straty, każdy ziemianin i fabrykant dobrze rozumieć może. Od stacyi Petersbursko-Warszawskiej i Warszawsko-Terespolskiej urządzona jest kolej konna i tą przewożą się różne towary inne, *prócz wełny*.

Czyżby koszt urządzenia relsów od stacyi Wiedeńskiej do składu Bankowego na ulicę Nowogrodzką nie spłacił się najdalej w ciągu lat kilku? Odległość jest niewielka, a tym sposobem przy urządzeniu odpowiednich wagonów z dachami, wełna wprost ze wszystkich 3-ch dworców mogła by być do składu odwożoną. Obecnie furmani pobierają najmniej k. 15 od wańtucha, a zwykle kop. 20 i drożej, za co drą i przecierają wańtuchy, gubią wełnę i nie odpowiadają za zmoknięcie. Dzisiejsze wagony konne przy zupełnym zajęciu miejsc przynoszą kilkanaście złp. dochodu, a że w wagon można pomieścić 30 kilka wańtuchów, dochód więc za każdy raz rsr. 5, minimum

konieczność, skoro siły natury i dyjeta nie wystarcza, warto aby i matki zrozumiały tę ważną zasadę że „lepiej daleko nic nie robić jak postępować na chybił trafił" nie znając celu, niewiedząc z czym się ma do czynienia. Nie chcemy przez to rozumieć aby matka siedząc z założonemi rękoma, była niemą obserwatorką cierpień dziecięcia. Toby było nielogicznością najwyższą.

Matka doświadczeńsza, przez czytanie popularnych książek higienicznych, przez rady domowego lekarza jest do tyla oświeconą i obznajmioną, iż nie ociąga się z wezwaniem pomocy — nie wyczekuje ostatniej chwili. Wie ona o tym, iż czas i rada w porę, to rzecz ważna w chorobie, że to czemu zapobiedz można dziś, za dni kilka może być zapóźno. Wie także jaka to różnica między maleńkim dzieckiem a starszym, może nawet czytała ów przykład przytoczony przez Hufelanda, gdzie niedoświadczona matka chcąc zawczasu nazwyczaić dziecię do noszenia kolczyków, w drugim tygodniu po urodzeniu przekłuła mu uszy. W skutek tej niewinnej operacyi dziecko dostało konwulsyjnego ściśnienia szczęk, co je doprowadziło do śmierci. Matki zadaniem, nie pojenie lekarstwami, nie przepisywanie środków, to niechaj lekarzowi zostawi, ale ona może zapobiegać chorobie, pielęgnować zdrowie, dbać o czystość pieluszek, pościeli, o świeże powietrze, o dobry pokarm, słowem o te wszystkie warunki co stanowią niejako dobrobyt fizyczny. Niestety ileż to razy te proste przepisy, powtarzane od lat tylu pozostają tylko w słowie, nigdy w czynie. Ileż razy powtarzam pomimo najusilniejszych zaleceń, nawet chorego dziecka, nie pielęgnują tak jak lekarz żąda!

Dziecko ma gorączkę, zapadło na odrę, szkarlatynę lub t. p. Zbytnie troskliwa matka owija je w jedną i drugą kołderkę, pokrywa pierzyną, przenosi do pokoju gdzie tak napalono że aż duszno, poi herbatą z bzu, lipowego kwiatu. Dziecko poci się straszliwie, krew uderza mu do głowy, przyspiesza się cyrkulacyja, a tym samym skłonność do wysięków. Gdy się wydarzy stan gorączkowy podczas ząbkowania, takie zbytnie ciepło pogarsza symptomy chorobowe. W ostrych skórnych wysypkach (odrze, szkarlatynie), zbytnia wysoka temperatura jeszcze bardziej rozdrażnia już i tak chorą skórę, utrudnia jej fizyjologiczne funkcyje, a przytym wpływa niekorzystnie na ogólny stan chorego. Zwróćmy uwagę o ile rozdelikatnione i zbytnie ciepło ubierane dzieci są skłonniejsze do katarów, kaszlów, przeziębień wszelakich.

Tylko w pierwszych tygodniach życia, dziecko potrzebuje cieplejszej temperatury, ale po przejściu tego czasu, koleją nazwyczajać je trzeba do chłodniejszej atmosfery. Widzieliśmy matki, co podczas 24 stopni ciepła ubierały 8-mio letnie dzieci w barchanowe kaftaniki i majteczki, aby się nie zaziębiły... W jesieni, chyba będą nosić futra, a w zimie siedzieć na piecu.

Zbyt hazardowne hartowanie, wysełanie na *bosaka na rosę*, nadmiernie zimne kąpiele, puszczanie na słońce z odkrytą główką, są także naganne, we wszystkim umiarkowanie zachować należy.

Nadzwyczaj ważną rzeczą jest pożywienie, osobliwie przy chorobach organów trawienia. Najmniejszy błąd w dyjecie bardzo jest szkodliwym. Tu przepisy lekarza winny być strzeżone czujnie, wykonywane ściśle. Na nic się pokarm nie przyda, jeżeli go strawić nie można, drażni on chory żołądek, powiększa irytacyją. Lepiej podać czystą wodę jak złe mleko, ścisła dyjeta nawet dni parę zachowana nie sprawi głodowej śmierci, i nawet bywa przez lekarzy zalecaną. Ale pamiętać także należy, że nie można dziecka brać w taki rygor, jak starszego. Tu bowiem pokarm się zużywa daleko szybciej, potrzeba ciągłego posiłku, więc podawać go w małej ilości, starannie przyrządzony i podawać często. Dzieci przy piersi zostające, żyją mlekiem ich karmicielki, należy przeto przepisać odpowiednią dyjetę matce lub mamce, aby pokarm nie był zbyt posilny, tłusty lub niepożywczy, a także iżby szkodliwe pierwiastki nie przechodziły w mleko z jadła, które karmiąca spożywa. *(d. c. n.)*

WADY NASZEGO CZYTELNICTWA

i Stowarzyszenia Czytelnicze.

(Dalszy ciąg)

W zapale dostarczania nowej a modnej literatury łaskawej dumie publiczności, przebrano miarę do tego stopnia, że na wyścigi przekładają się nieraz lichoty, zabarwione głośnym imieniem lub zachwalone stugębną reklamą. Zdumiewającą jest prawdziwie wyżla sztuka tropienia ponętnej dla publiki nowalijki zagranicznej, w cichości a spiesznie, by ktoś inny nie ubiegł, ale więcej jeszcze kunszt niezrównany, jakim redakcyje ratują się w obec słabszych produkcyi, przechodzących przez ich ręce. Ostatniemi czasy weszło u nas w modę podmalowywanie tłumaczonych utworów, przerabianie całych scen i ustępów, dosztukowywanie całych sytuacyi, zakończeń i tym podobna gospodarka w cudzym, wołająca o pomstę do nieba. Pamiętamy, jaki przed kilkunastu laty powstał krzyk u nas, kiedy sławetny radca pruski Bachmann-Jeżowski wykroił z Listopada i Zamku Krakowskiego dwa *historische Romane*, podciąwszy należycie ich kontuszowy charakter, żeby lepiej kapotowym *biurgierom* do smaku przypadły. Krzykom oburzenia i zgrozy końca nie było. Nikt by się pewno wtedy nie spodział, że dziś my sami bachmanowską taktyką walczyć będziemy. Szczęście wielkie na ten raz, iż o naszę literaturę zagranicą mało dbają, bo inaczej mielibyśmy się z pyszna, gdyby obcy autorowie o krzywdy wyrządzone im przez naszych tłumaczów dopomnieć się chcieli. Pojmujemy przerabianie podręczników odpowiednio do miejscowych i czasowych potrzeb, pojmujemy dodatki w książkach naukowych, zwłaszcza popularnych, rozumie się w odsyłaczach i opatrzone odpowiednim podpisem. Takie odsyłacze nieraz są konieczne, przy traktowaniu rzeczy naszych i w ogóle sławiańskich, obcy okazują często nieznajomość, a nawet złą wolę, co niezbędnie o sprostowanie woła. Pojmujemy także, iż redaktor może poprawiać rękopismy niedoświadczonego aspiranta do sławy literackiej, zwłaszczą błędy językowe. Za taką łaskawość należy mu się nawet coś w rodzaju pocałowania ręki ze strony młodzieńczego debiutanta Ale gdy tłumacz pozwala sobie po korepetytorsku kreślić, przerabiać, poprawiać utwory ludzi, mających dwadzieścia razy więcej od niego talentu, zasługuje na to, na co zarabia swawolny malec, poważający się dorabiać wąsy i brody osobom na rycinach w książce. Dzieło sztuki, nie zważając na wszelkie usterki, powinno być przeniesione na obcą niwę w takiejże postaci, w jakiej zostało napisane. Jeśli wady utworu są tego

---

wynosić może. Wełna u nas jest produktem znaczny dochód przynoszącym i do prawdy warto, aby dla przewozu jej porobiono jakieś udogodnienia, dodam tu nawiasem, że taki sposób przewożenia byłby dużo bezpieczniejszym, dziś bowiem, gdyby spodobało się jakiemuś furmanowi zamiast do składu pojechać na Nalewki lub gdzieby tam wypadało, to pilnujący transportu złożonego z kilku fur w znacznej często od siebie odległości wlokących się i bynajmniej nie solidarnie za siebie odpowiadających, nie byłby zupełnie w stanie temu zapobiedz. Pozostaję i t. d.

B. Guzowski.

* * *

Z gubernii Mińskiej w Czerwcu 1873 r.

Wszystkie prawie korespondencyje z prowincyi starają się odzwierciedlać życie handlowe i przemysłowe swych miejscowości, ja jednakże obecnie pominę jedno i drugie choćby z uwagi, że to co Wasz korespondent z nad Buga powiedział pod tym względem o swojej stronie do nas w zupełności zastosować się może. Orzemy sochami, kieszenie Moszków to nasze kasy zaliczkowe i t. d. i t. d.

Pomówię o tym kiedyś, dziś zwrócę się w inną stronę... i zacznę od choroby powszechnie nas tu trapiącej od *gramatyko-wstrętu*.

Półbiedy jeżeli pacyjent zajmuje podrzędne stanowisko w hierarchii umysłowej, półbiedy jeżeli cierpiący czuje, że chory wtedy bowiem łatwo go skłonić, aby się zabrał do kuracyi; ale bieda ogromna jeżeli ludzie niby wysoko wykształceni, uważają język za czczą formę, równie mało znaczącą, jak krój np. tużurka i pogardliwym wzruszeniem ramion traktują tych którzy im łaty pokazują. Tego rodzaju cierpienie staje się nie wyleczalnym i silnie zaraźliwym. Niestety o takich chorych u nas także nie trudno.

Ażeby zarzut gramatyko-wstrętu nie był gołosłownym sądzę, że nie od rzeczy będzie przytoczyć, że mówimy *ta* papierosa zamiast *ten* papieros—*ta* piecz zamiast *ten* piec—*ten* wielkanoc zamiast *ta* wielkanoc—*ta* kartofla zamiast *ten* kartofel—szpacer zamiast spacer—zajzdrość zamiast zazdrość—ojc*owi* zamiast ojc*u*—powinszować *go* zamiast powinszować *mu*—mówimy także iść *za pokupkami* zamiast iść *po sprawunki*—za mną nie będzie ostanówki zamiast nie dam na siebie czekać—*kacić* się zamiast *toczyć* się—*wymietka* zamiast wyciąg, wynotowanie, i pozwalamy sobie bardzo wielu innych podobnych dziwolągów, którychby na wołowej skórze jak to mówią nie spisał.

Prócz tego używamy też bardzo często przymiotników w niewłaściwym zupełnie znaczeniu i formie i mówimy *np. światły* człowiek światły pokój i światły kolor, mówimy znowu: *mileńki, kochanieńki, drogieńki* i t. d. i t. d. Może to dosyć muzykalnie, może... ale cóż kiedy niegramatycznie.

A wiecie skutkiem to czego pochodzi? odpowiedź łatwa: wada to początkowego wychowania, dziecko zamożnych rodziców zaledwie zacznie mówić natychmiast Szwajcarka lub Paryżanka bierze je w wyłączną opiekę, a są u nas i takie niestety matki, które nawet pacierza uczą swoje dzieci po francusku... Dziecko znów które ujrzało światło dzienne w biedniejszym dworku guwerner obowiązany jest tylko przygotować do gimnazyjum, w obu więc razach malec gramatyki własnego języka nie dotyka się wcale.

O matki! do was należy zapełnienie strasznych luk w wychowaniu młodego pokolenia—dotykać szczegółów rzecz długa i trudna „mądrej głowie dość na słowie", więc wiedźcie, że znajomość obcych języków rzecz pożądana, znajomość własnego to święty obowiązek obywatelski.

Jeżeli za miarę do ocenienia naszego życia umysłowego przyjmiemy zainteresowanie się prasą peryjodyczną przedstawi się ono wcale nie źle. Czytanie stało się można powie-

rodzaju, że przeróbka jest konieczną, to lepiej nie tłumaczyć go wcale, a pracę i zdolność obrócić na oryginalną produkcyją. Również nie godzi się skracać i wypuszczać choćby maleńkich ustępów. Tłumaczom, którzy to, czemu podołać nie mogą, bez ceremonii chowają do kieszeni, mamy prawo powiedzieć z góry jak żakom, by się nie brali do tego, co przechodzi ich siły. Smutno powiedzieć, że u nas bardzo wielu przekładaczy nie przeniknęło się dostatecznie tą złotą prawdą, iż do tłumaczenia potrzeba koniecznie *gruntownej* znajomości zarówno języka, z którego się przekłada, jak i języka na który się przekłada. Sumienność w oddaniu cudzej myśli i czystość języka są to dwa warunki, braku których nic nie okupi, nawet bajeczna taniość wydawictwa.

Zapędzilibyśmy się za daleko, gdybyśmy mieli wyszczególniać to, doczegośmy doszli w skutek ciągłego oglądania się publiczości za coraz to nową rozrywką, jak z drugiej strony w skutek grzesznej powolności literatury w zaspokojeniu tej żądzy, choćby nie przypuszczając nawet fundowania własnego interesu na dogadzaniu płochych tłumów kaprysom. Ciesząc się więc z postępu czytelnictwa, z coraz większego rozbudzenia się potrzeby książek, boleć musimy zarazem nad wzrosłym niepomiernie nałogiem zaspakajania tej potrzeby w ladajaki sposób. Potrzeba przeciwwagi jest krzyczącą, a ponieważ w masach wszystko jest przyzwyczajeniem, nałogiem, przeto należy się krzątać około wyrobienia przyzwyczajenia w innym kierunku. Wciągać coraz szersze koło do poważnego czytania wszelkiemi sposobami jest dziś obowiązkiem literatury. Obok tego potrzeba w samej beletrystyce wyboru — potrzeba, by publiczność nie traciła drogiego czasu na pochłanianie wszystkiego, co łaska redaktorów i wydawców jej rzuca, dla tego jedynie, że to nowość, ale i z tej gałęzi ciągnęła pożytek i korzyść upragnioną.

(d. n.)

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

(Dokończenie.)

Wiedeń, 11 Czerwca 1873 r.

To co się działo w stolicy, nie pozostało bez wpływu na większe miasta państwa. Widać tu ten sam objaw, te same dążności, ten sam fałszywy kierunek rozwinięty na większą lub mniejszą skalę. Za to po wsiach wszystko pozostało po staremu; dwie tylko rzeczy wzmogły się: nędza i rozstrój społeczny. Austryją składają tak różnorodne żywioły, iż w każdej niemal prowincyi istnieją inne ekonomiczne społeczne warunki; chcąc je uporządkować według jednej przyjętej modły, której wzorem był Wiedeń, ten tylko cel został dopięty przez centralizacyjne wysilenia, iż wszędzie powstał jeden i ten sam chorobliwy objaw. Nawet Węgry nie są od niego wolne, gdyż to co się działo w Wiedniu, działo się na mniejszą skalę w Peszcie, a pod względem finansowym Peszt pozostał, jak był zależnym od Wiednia i wszystkie powstałe tam finansowe instytucyje cierpiały i cierpią na absolutny brak pieniędzy. Większa własność po większej części pozbawiona rąk do pracy i kapitału, obarczona ogromem ciężarów fiskalnych i podatków, zaledwie utrzymać się może w dotychczasowych warunkach. Najlepiej zagospodarowane majątki ziemskie, z dostatecznym kapitałem obrotowym przynoszą przecięciowo najwięcej 5%. Kto takiego kapitału nie posiada dostać może najtaniej od Towarzystw Kredytowych ziemskich pożyczkę, która wypada policzywszy kurs i koszta najtaniej na 7%. Może więc z matematyczną pewnością wyliczyć dzień i godzinę w której wyjdzie z majątku bez grosza. Rozpowszechniony komunał o bogactwie właścicieli ziemskich w Węgrzech, jest prostą baśnią, i najlepszym dowodem tego bogactwa, są zaległości podatkowe dochodzące do 40 milijonów guldenów od lat dwu w Węgrzech, których rząd żadną miarą ściągnąć nie może. W obec tak smutnej perspektywy znaczna część większych właścicieli ziemskich rzuciła się do przemysłu, że zaś daleko przyjemniej od razu zrobić fortunę, jak pracą wytworzyć przemysł, że giełda wabiła głosem syreny, że grono giełdowych baronów otwartemi rękami przyjmowało rzeczywistych baronów, i w spółce z nimi szukało okrasy dla swych spekulacyjnych pomysłów, więc jaki taki zaciągał co prędzej hipoteczny dług, za jaką bądź cenę, i gonił do miasta, gdzie tak łatwo było po pierwszym giełdowym sukcesie i dług i procent pokryć. Z małemi nader wyjątkami sukcesu nie było, lecz dług pozostał; że zaś trudno zejść z raz obranej karyery, przeto spekulowało się wciąż dalej, na wszystkim co się zdarzyło, pokąd reszta majątku, całkiem spustoszałego nie przeszła w obce ręce, a pan ex-właściciel ziemski nie zamienił się w faktora do szczególnych poruczeń przy jakim bankierze. Tym sposobem wytworzyła się dość liczna i we wszystkich prowincyjach Austryi reprezentowana kasta wierno-konstytucyjnych większych właścicieli ziemskich, których interes ściśle związał z rzemieślnikami giełdy. Czy w politycznej, czy w ekonomicznej kwestyi pójdą z nimi w każde błoto, i są ich główną i najsilniejszą podporą.

Mała tylko cząstka właścicieli ziemskich, i to po większej części najmajętniejsza, umiała się wyzwolić od tych wpływów i pozostać na uboczu, zachowując tak swobodę zdania jak i działania. Za to nie szczędzą jéj nazwy klerykałów, wsteczników, nieprzyjaciół nowoczesnego postępu. Że zaś majątki ich odznaczają się wzorowym urządzeniem, że mają w rzeczywistości bez porównania więcej pieniędzy od giełdowych baronów, przeto do zwiększenia rozdwojenia społecznego i politycznego przyczynia się jeszcze zawiść, i niema potwarzy, niema obelgi, której by im oszczędzono. Mści się za doznawane obelgi to tak nazwane feudalno-klerykalne koło twierdząc, iż dziś nazwa feudała przynosi w Austryi każdemu prawdziwy zaszczyt, gdyż jest przynajmniej rękojmią, iż dotąd nic nie skradł.

Pomiędzy większą i mniejszą własnością ziemską niema w Austryi dotąd żadnej spójni, ani interesów, ani dążeń; jest to stosunek ogólny wszędzie, z wyjątkiem Czech, i małej cząstki Węgier zamieszkałej przez madziarską ludność. Chłop wszędzie biedny, gdyż ciemny, pod wpływem pokątnych doradców i wyzyskiwaczy; jego miejscem obrad karczma, a największą uciechą wino, piwo lub gorzałka. Dziennikarstwo kładzie wszystko złe na karb duchowieństwa, ono jest tu kozłem ofiarnym, ono zawiniło gdy deszcz nie pada, a chłop liberałów niesłuchając, wszystko po chłopsku tłumaczy i pojmuje. Ale w praktyce codziennej wszystko co dotąd liberalno-konstytucyjna partyja dla ludu stworzyła, pozostało na papierze. W praktyce codziennej chłop coraz biedniejszy, a wszystkie zasoby drobnej własności pochłania lichwa. Gdyby dziś przyszło do likwidacyi, trzy czwarte części małej własności w Austryi dzieć nieodzowną potrzebą większości zwłaszcza kobiet i z każdym dniem prawie potrzeba ta jeszcze wzrasta, chociaż powieści i obrazki są niestety przedewszystkim na porządku dziennym.

Ze stacyi np. pocztowej w Słucku jednym z miast powiatowych naszej Gubernii otrzymujemy następujące pisma:

Tygodnik Illustrowany	10
„ Mód	7
„ Romansów	8
„ Rolniczy	2
Gazeta Polska	9
„ Warszawska	3
„ Rolnicza	2
„ Lekarska	2
Przegląd Tygodniowy	3
„ Katolicki	2
Bluszcz	9
Kłosy	8
Kolce	5
Opiekun Domowy	4
Ognisko Domowe	2
Przyjaciel Dzieci	7
Wędrowiec	2
Mucha	2
Kuryjer Warszawski	2
Biblijoteka Warszawska	2
Niwa	1
Kronika Rodzinna	1
Kuryjer Świąteczny	1

Oprócz tego mamy jeszcze i inne wydawnictwa jak 50 tomowe Przeglądu Tygodniowego, a nawet, ale to rzadziej, sprowadzamy książki nowo ukazujące się w handlu księgarskim.

Przykry to obowiązek korespondenta jeżeli nie ma możności podzielania się z czytelnikami czymś coby współmieszkańcom jego okolicy prawdziwą chlubę przyniosło—boleśny gdy rany społeczne obnażać musi i pewną liczbę współbraci stawiać pod pręgierz opinii publicznej potrzebuje. Ale korespondencyje iżby mogły wpływ wywierać powinny być koniecznie wiernym odbiciem miejscowych stosunków.

Są otóż u nas kapłani którzy czują ważność swego powołania, gotowi zawsze spełniać swe obowiązki, z miłością w sercu i słowami pociechy na ustach, o nich jednakże nie będę tu mówił z dwu powodów, raz, że liczba ich na nieszczęście jest strasznie ograniczoną, a powtóre, że szacunek i miłość parafijan jak niemniej spokojne sumienie najlepszą są dla nich nagrodą, o drugiej za to kategoryi rzeknę słów kilka.

Brak poczucia osobistej godności, bezmyślna wegetacyja, a wreszcie niczym niepohamowana chciwość, chciwość co dla miłego grosza zmusza nieraz do służenia najfatalniejszej sprawie, oto cechy drugiej kategoryi duchownych.

Ludzie ci z powołania swego wytworzyli rzemiosło, i uchylają się od wszelkich obowiązków, które nie przynoszą korzyści, stąd też każdy np. pogrzeb biedniejszego, to świeży skandal księdza z familiją nieboszczyka. Kto nie ma pieniędzy nie powinien umierać, paszport na tamten świat drogo bardzo kosztuje i często bez współudziału policyi wyrobić go nie sposób.

Jaki wpływ tacy naśladowcy Chrystusa wywierają na moralność tych szczególniej klas dla których jedynym są wzorem, dowodzić zdaje się niepotrzebuję.

Czy „kochaj bliźniego“ z ust takiego księdza nie jest obelgą rzuconą nauce której mieni się być kapłanem.

Niechcąc lub niemogąc rozwodzić się dłużej nad tym wstrętnym obrazem dodam tylko to, że jest on w minijaturowych ramach podobnym do tego który bardzo często mamy tu przed oczyma, a wspomniałem o nim jedynie by zaznaczyć w jakich tu okropnych zostajemy warunkach...

K—n.

przeszłoby w ręce lichwiarzy, nawet w prowincyjach, które uchodzą za stosunkowo najzamożniejsze. Trudne warunki większej własności stosują się również do mniejszej. Gorzej jeszcze, gdyż mniejsza własność nie cieszy się prawie żadnym kredytem, i nawet w dolnej Austryi nieustanne wywłaszczania mniejszych właścicieli ziemskich, są wciąż na porządku dziennym. Że ludność wiejska zaglądająca do miast, z zawiścią patrzy na pozorną tam zamożność i próżnujący zbytek, rzecz naturalna, a wytwarzająca się stąd nienawiść oddziaływa na zwiększenie zamętu pojęć w sposób zatrważający.

Gdy w Austryi porzucono drogę rzeczywistości dla ekonomicznych utopij, gdy dla wygody tych utopij nakrzywiano wbrew prawdzie konstytucyjonalizm do celów jednego stronnictwa, gdy gra na giełdzie stała się alfą i omegą ekonomicznych dążeń, zagraniczny kapitał przywabiony łatwością zysków, dość obficie wpłynął do kraju, i rzecz ważna, iż znaczna część nowych przedsiębierstw mających rzeczywistą podstawą opierała się na tym zagranicznym kapitale. Ale ten kapitał postępował dość oględnie, nie dał się uwieść miejscowym obłędom, i gdy cel swój spełnił, to jest zapewnił właścicielom odpowiedni zysk, począł się stopniowo cofać. Ubytek ten usiłowano zastąpić nadmiarem spekulacyj i wytworzeniem większej jeszcze liczby fikcyjnych walorów. Skutek był wprost przeciwny i spowodował ogólny dyskredyt nawet lepszych effektów. Kilka bankructw było dostatecznym, aby spowodować paniczny postrach i gwałtowne przesilenie. Nie trudno odgadnąć, jaki stan powstał pośród społeczeństwa opartego na tym podobnych warunkach; da się to porównać z położeniem kraju posiadającego tylko papierową monetę, w którym pięknego poranku ta moneta zamieniłaby się na raz w bibułę.

Pierwsze wrażenie po katastrofie w kołach nie będących w bezpośredniej styczności z giełdą, było nietajonej radości. Co to za roskosz widzieć bankiera, który wczoraj rozpierał się w pysznej karecie, idącego dziś skromnie po błocie! Pierwszą myślą było, iż nareszcie skończy się wygórowana drożyzna, iż praca będzie wystarczającą do zapewnienia codziennego chleba. Drożyzna trwa jak trwała, gdyż ustąpi ona dopiero wtedy, jak skutki katastrofy zmuszą i handlarzy do likwidowania z przeszłością, tymczasem zmniejszają się wciąż środki zarobku. Pieniądz jak zwykle bywa w podobnych czasach, całkiem się schował; jaki taki oszczędza się i ogranicza swoje wydatki; stąd stagnacyja powszechna w handlu i zarobkowaniu. Dziś już przewidzieć można bezpośredni skutek oddziałania katastrofy na wszelką spekulacyją budowlaną. Co stanie się z owemi stu tysiącami wyrobników zajętych przy budowlach, pozbawionych na raz zarobku? czy powrócą nazad do miejskich zajęć od których odwykli? W każdym razie Wiedeń nie był w ostatnim czasie szkołą umoralnienia, i ludność wiejska nie wiele zyska na rozsypaniu się wśród niej tego żywiołu. Co stanie się z owemi kilku tysiącami urzędników bankowych pozbawionych na raz chleba, gdyż banki albo pobankrutowały, albo też w przewidywaniu długotrwałej stagnacyi, zmniejszyły o połowę swój etat? Co stanie się z owemi kilku tysiącami osób zajętych obecnie chwilowo przy wystawie, a które z jej końcem pozostaną bez zatrudnienia na bruku? Co stanie się zresztą z robotnikami fabryk które w skutek braku kapitału i drożyzny kredytu, muszą prędzej czy później przejść przez dotkliwą kryzys?

Są to wszystko kwestyje nie dające się dziś jeszcze rozwiązać, lecz berzemienne wcale nie pocieszającą przyszłością.

Przesilenie finansowe w Austryi jest rzeczywistym dobrodziejstwem tak pod względem ekonomicznym jak społecznym i im prędzej nastąpiło tym lepiej, gdyż wyleczyło z jednej strony ogół z marzeń o możności wytworzenia dobrobytu bez pracy, z drugiej zaś strony usuwając chorobliwe spekulacyje, zwróci kapitał na pole produkcyjne. Austryja zaś jest z natury zbyt hojnie uposażonym krajem, aby nie miała wnet wyrobić prawdziwych podstaw swoistego bogactwa, trzymając się racyjonalnej drogi ekonomicznego postępu. Natomiast katastrofy takie mają to do siebie, iż zwykle najprzód i naj dotkliwiej dotykają tych, którzy najmniej zawinili. I tu przejście będzie ciężkie, i lat potrzeba czasu zanim ogół przebol je skutki.

Za to katastrofa wywrzeć musi silny wpływ nie tylko na stosunki społeczne, lecz i na cały dalszy polityczny ustrój. Nie wdając się w żadne dalsze konjunktury, to tylko widocznym dziś, iż dziennikarstwo liberalne straciło znaczną część swego kredytu; zbyt wiele przyczyniło się w samolubnych celach do sfałszoowania ekonomicznych pojęć, aby ogół o tym zapomniał, a za dyskredytem na polu finansowym idzie nieuchronnie dyskredyt w kwestyjach politycznych. Gdy zaś z upadkiem szalbierstw giełdowych straciło dziennikarstwo wiedeńskie główną część swych zysków, nastąpić tu musi radykalna zmiana dążeń i formy. Śmiertelne podrygi tego dziennikarstwa, szamoczącego się dziś jak mucha w ukropie, chcąc sztucznym sposobem zatrzymać lub przywrócić usuwającą się przeszłość, wzbudza tylko politowanie.

Nie mniej jest pewnym, iż będące wciąż od r. 1861 z krótkiemi przerwami usteru stronnictwo nazwane wierno-konstytucyjnym, które było bliskim zrealizowania celu swych życzeń, to jest zmonopolizowania władzy na swą własną korzyść i na korzyść szachrajstw giełdowych,—straciło na raz wszelki grunt pod nogami. Opierając się wyłącznie na interesach koteryi w bliższych lub dalszych stosunkach z giełdą będących upaść musiało z upadkiem giełdy. Dziś koryfeusze tego stronnictwa leżą na brzuchu, a z upadkiem finansowej świetności, upadło ich całe znaczenie. Zresztą stronnictwo opierające się wyłącznie na materyjalizmie, redukuje się do znaczenia zera, gdy mu pieniędzy zabraknie. Austryja z pewnością po tym stronnictwie żałoby nosić nie będzie, a radość w prowincyjach zapanowała powszechna. Ponieważ jednak Austryja posiada tę własność, iż żadne stronnictwo ani u niej prawidłowo rozwiązać się ani umrzeć w właściwym czasie nie umie, przeto miotają się jeszcze wierno-konstytucyjni z podwójną wściekłością, zatrzymując gwałtownie ostatnie iskierki życia.

Nic idzie zatym iżby miał nastąpić natychmiast prawidłowy i składem państwa nakazany kierunek wewnętrzny, albowiem w Austryi panuje zwyczaj, iż zanim wjedzie się na prosty, przed nosem leżący i bity gościniec, wypada wypróbować zawsze wpierw wszystkich pobocznych drożyn, pokąd się nie połamie na nich kół, a przynajmniej szprychów w wozie; ale zaświtała przynajmniej nadzieja obecnie iż macając wciąż, może się w końcu ogół domaca prawdy, tym więcej iż najgłówniejsza zawada, fałsz ekonomiczny i społeczny podniesiony do znaczenia Koranu, dotykalnemi cięgami dał się dobrze poczuć wyznawcom niemiecko - liberalnej nieomylności.

Z NAD BRZEGÓW SEKWANY.

Piękny to kraj ta Francyja, powiadają ludzie.—Piękny, zasobny i bogaty... powtarzamy.—Gdyby kto chciał przejechać ten skraj ziemi od Marsylii aż do Hawru, jakaż rozmaitość widoków i wrażeń uderzyłaby umysł i oko! Nie zakreślamy tak obszernego planu naszej wycieczki. Jesteśmy w Paryżu, już nas znudził hałas i turkot uliczny, spowszedniały błyszczące zbytkiem wystawy palais Royal'u, dosyć nachodziliśmy się po bulwarach. Wartoby odetchnąć świeżym powietrzem, przekroczyć wały opasujące boki szarego olbrzyma, co się rozpostarł szeroko na dwóch brzegach bystrej rzeki, i kipi krwią gorącą, wre życiem, dwu milijonami serc bije. W Paryżu są serca, są namiętności, są zawiści, jest nauka, jest złoto.... ale brakuje rozumu. Dla czegóż tego sternika czynów zabrakło? Nieraz zadawaliśmy sobie to pytanie.—Co może zrobić stara zapleśniała rutyna, Francyja najlepszym tego dowodem. Gdzie myślą pójdę, gdzie wzrok obrócę, wszędzie napotykam olbrzymi zasób pomocniczych środków. Idziemy do Jardin des plauts, prześlicznie urządzony, tak że aż wzbudził zawiść w Berlińczykach, siłą się aby ich Thier-garten dorównał paryskiemu cacku.

W ogrodzie tym znajdują się bogate zbiory mineralogiczne, botaniczne, jest muzeum anatomii porównawczej, są wyborowo urządzone szkółki roślin i kwiatów, dla użytku uczącej się młodzieży przeznaczone. Student z wydziału nauk przyrodzonych lub fakultetu medycznego, ma obszerne pole do studyjów. Ale cóż... puszczono go bez kierownika na stromą ścieszkę samodzielnych badań, on jeszcze po niej postępować pewnym śmiałym krokiem niezdolny. Młodego pracownika winien ująć za rękę badacz doswiadczony, tak robią Niemcy. U nich docentów, privat docentów, assystentów i tak dalej nigdy nie brakuje. Każą sobie płacić za naukę, ale uczą, ale dają wskazówki. Francuzi innego trzymają się systemu, tam młodzi ludzie toć samouczki, muszą sobie radzić jak mogą, uczyć się z własnych błędów, dociekać z książką w ręku, bo tylko kilku protegowanych przez professora, może korzystać z jego światłej rady. Francyja dzisiaj jeszcze posiada znakomitych myślicieli, ale jakże oni nieliczni! Bo zaiste wielkiej wytrwałości i wielkiego zamiłowania pracy potrzeba, aby przełamać tak liczne trudności, jakie początek studyjów na własną rękę przedstawia.

Któżby uwierzył że Claude-Bernard dotąd niema porządnej fizyjologicznej pracowni, że gabinety przy szkole medycznej tak liche, że wstyd doprawdy iż w Paryżu takie zaiste chlewy dla zwierząt istnieją.

Sale wykładowe brudne, ciasne, sali egzaminacyjnej niema, gabinet anatomiczny lichy. Najtańszy małomiasteczkowy uniwersytet niemiecki posiada lepsze pracownie. Nic więc dziwnego, że genijalne pomysły giną marnie z braku środków, że Niemcy z nich korzystają i budują mrówczą pracą kolos swojej naukowej potęgi.

Utyskują na to professorowie uniwersytetu, a ile traci młodzież? Cóż z tego, że jest materyjał do badania, kiedy niema gdzie badać, niewiadomo jak się wziąść do tego. Marnieje skarb bezpożytecznie, a gdyby go umiano spożytkować, bezwątpienia żaden naród nie mógł by pójść z Francyją w zawody. Znakomicie urządzone szpitale, i obszerne kliniki medycznego wydziału, stoją otworem tak dla francuzów jak i cudzoziemców, cóż jednak, kiedy niema dostatecznej liczby przewodników. W Jardin des plants i d'Acclimatation, zwierząt wszelakich i ptastwa moc — do gabinetów wstęp wolny, wszędzie niestety kierowników brakuje

I jakże tu przy podobnej organizacyi nie zacofać się pod względem naukowym?

Dla cudzoziemca co okiem chłodnej krytyki spogląda na społeczeństwo francuskie, w jaskrawych barwach widnieją wszelkie niedostatki społecznego ustroju. Widzi szerokie wyłomy, kolosalne błędy, i lituje się nad lekkomyślnością tych marnotrawnych dzieci, zepsutych dobrobytem, gonionych żądzą karyjery i zysku.

Ten przepych i wystawa które na każdym napotyka się kroku, olśniewa wzrok nędzarza, budzi w jego piersi żądzę choć cząstki tych bogactw, rozdmuchuje zarzewie nienawiści, szepcze w ucho słowa krwawemi pisane głoski. Wir życia porywa jednostki, niesie je z sobą, pieniądz krąży wartko przechodzi z rąk do rąk, kapitały rosną, w lat kilka można zyskać setki tysięcy przy pracy obrotności i sprycie. Francuzi chorują na karyjeryzm. Ta chęć zysków absorbuje całą ich istotę, wytężają przeto siły aby jak najprędzej osiągnąć cel pożądany, i zapominają, że obok nich istnieją drudzy podobni choć mniej szczęśliwi i możni, zapominają, że istnieje ziemia, po której depczą ich stopy, że tę ziemię kochać trzeba, żyć dla niej trzeba. Nie jest ona macoszym zagonem, nie jest niepłodną niwą, hojnie płaci trudy, zabiegi i pracę, nagradza talenta, nie skąpi wawrzynów zasługi. Może dla tego cenioną jest tak lekko! Krwawa i znojna walka o byt, gonitwa za kęsem strawy, piekło przeciwności, upokorzenie i nędza nie zajrzały nigdy pod strzechę, gdzie goszczą dobrobyt i szczęście. Więc zobojętniał człowiek na dary otrzymywane codziennie, zniewieściał, skarlał.... zapomniał kochać i cierpieć, a nauczył się wegetować i używać.

Czegóż im brakuje tym Francuzom, pytają obcy? Czy oni wiedzą, co to jest brak chleba, brak stanowiska, czy im kiedy legła w poprzek drogi zawada której usunąć nie sposób? Czy ich warunki otoczenia spowiły siecią przemocy której potargać i przedrzeć niepodobna...

Trochę pracy, a chleb gotowy, byt zapewniony. Uzdatnionego inżyniera w tej chwili chwytają kompanije prywatne i płacą dziesiątkami tysięcy franków. Doktor medycyny jeszcze przed otrzymaniem dyplomu, posiada zapewnione miejsce, co najmniej kilka tysięcy franków przynoszące. Adwokat może śmiało myśleć o tece ministeryjalnej, filolog o posadzie uniwersyteckiej, mechanik i technik o fabryce.

Malarz lub rzeźbiarz nie wyczekują na to rychło jaki mecenas sztuki, zakupi ich pracę bo czy oryginalny pomysł, czy dobrze wykonaną kopiję każden majętniejszy człowiek chętnie nabywa, to mu nie robi żadnej różnicy.

Artysta dramatyczny skoro ma talent, wnet znajdzie miejsce w licznych teatrach, które współzawodnicząc z sobą, starają się o bogaty i dobrany personel. A literatura? Gdzie wychodzi taka massa czasopism i książek, gdzie tylu czytających, nic dziwnego, iż Dumas Wiktor Hugo i wielu innych robią fortuny.

Czy jednak tylko w większych miastach jest pole zarobkowania. Wychylmy się po za ich mury. Dajmy na to, że lokomotywy biegi niosą nas na północ, jedziemy do Rouen i Hawru.

Lotem ptaka przesuwa się jeden wielki ogród, ogród żyzny, pełen owocu. Migają rozłożone wzdłuż Sekwany zielone łąki cudownej Normandyi. Na pastwisku pląsa stado bydła i owiec, rżą rosłe i silne konie na świeżo pożętym ścierniu, snop leży na snopie, kłos pełny, ziarno dorodne, zbiór obfity.

Fermier w niebieskiej bluzie pracuje od świtu, ale mu nie żal pracować, setnie się trudy powrócą. Z wiosłem w ręku siada w łódkę, płynie po falach ojczystej rzeki do elegancko zbudowanego domku, gdzie go po dziennym znoju czeka posiłek smaczny, wykwintny, gdzie go wita dobrobyt wyglądający z każdego kątka, wita spokój i niezależność. Nie troszczy się o sprzedaż produktu, już on zamówiony oddawna, już nań dano zaliczkę. Jarzyny, owoce, zboże, na czas oznaczony dostawi, grosz za nie odbierze, swoi i obcy skonsumują to, co wyprodukował.... Koleje, drogi bite, ułatwione warunki zbytu, wysoko rozwinięta przemysłowość, składają się na dobrobyt ogólny.

Dojeżdżamy do miasta. Komin koło komina wystrzelił. Tu są fabryki żelaza, przędzalnie bawełny i młyny parowe. Słychać huk młotów, turkot kół, szum miechów, i od czasu do czasu zgodny chór pieśni pracujących robotników. Jesteśmy w Rouen, które przed naszą bytnością niedawno opuściła załoga pruska. W mieście czystość, kanalizacyja wyborna, ulice szerokie, domy wyniosłe ozdobne i trwałe, bo francuski budowniczy, nie nawykł do Wiedeńskiej fuszerki. Piękny ratusz i katedra są ozdobami miasta.

Zniszczony posąg dziewicy orleańskiej Joanny d'Arc, zamierzono odbudować. Z wieży katedralnej roztacza się cudny widok na okolice. Sekwana obiega miasto łukowato, tworząc liczne wysepki drzewami porosłe. Od czasu do czasu przesuwają się po niej parowce wiozące paryżan do Hawru.

I my zamierzyliśmy zrobić wycieczkę do tego portu, czas nagli, więc jedźmy. Przebiegamy przestrzeń zasianą wioskami i miasteczkami, tu i owdzie obszerne zakłady przemysłowe, rozległe pola, zielone gaje grabiny, dębów i olszy. Jesteśmy już blizko kresu podróży, czujemy chłód owiewający lica, obok nas długie rzędy magazynów zbożowych i składów fabrycznych, tam w dali sine pasmo jakby mgła wstająca ze świtów szarego poranka, to morze.

Las masztów, świat okrętów, rojowisko ludzi. To wymiana zobopólna dalekich krajów... to handel. Ileż statków zawija w przystania francuzkich portów! Stojąc na brzegach Hawru, liczyłem drobne punkciki widniejące w perspektywie wód i błękitów, coraz to nowe, coraz inne, a dążą bliżej i bliżej.

Kamienny brzeg, wzniesiony ręką ludzką, i milijonami franków, opasuje półkolem obszerną przystań. Fala pieniąc się, odskakuje od ścian twardych, na wysuniętym daleko w morzu trójkącie wzniesiona latarnia morska. Przystań porozdzielana tamami przez które rzucono zwodzone mosty.

Piloci na nie wielkich łodziach wyjeżdżają na powitanie coraz to nowych okrętów. Anglik, Amerykanin, Włoch. Hiszpan, Duńczyk, Szwed, Niemiec, Rossyjanin, wszystko dąży po zielonej fali wód do owych przybytków, gdzie towar, gdzie złoto przechodzą z rąk do rąk, gdzie z cichej wpadliny między wychylonemi w morze skrawkami ziemi, wypływa garstka majtków, harda drużyna... na walkę z potężnym żywiołem, walkę o śmierć lub życie walkę o pieniądz gienezę życia teraźniejszości. (*D. c. n.*)



„Chrześcijanizm w stosunku do rodziny i kobiety" napisał *Ks. Krechowiecki* dr. teologii Lwów.

Dodatni wpływ chrześcijanizmu na rodzinę i kobietę—nie podlega żadnej wątpliwości. Ze sprawą tego czynnika nastąpił przed osiemnastu wiekami ważny moment oswobodzenia stanów w zakresie społecznym—pierwsze wyzwolenia kobiety w zakresie domowym.

Wpływ ten był później zacieranym lub wzmaganym przez inne, zrodzone potrzebami nowych chwil potęgi.

Bądźcobądź ideja Chrystusowej miłości pozostanie nazawsze dzielną inicyjatywą czynów społecznych i cementowym pierwiastkiem rodziny, oile prawa i potrzeby chwili, oile drogą nadewszystko sprawę życia i postępu uświęcać będzie.

Autor leżącej przed nami książki nieco odmienniej od nas przedmiot ten pojmuje. Zdaniem jego, świat się na drodze rozwoju „odchrześcijania", świat dziś powraca do wytworzonej jakoby przez ludy pogańskie „poczwórnej emancypacyi", stając się coraz bardziej — *racyjonalnym, sensualnym i ateistycznym*. Dwa bo tylko były szczęśliwe epizody w życiu ludzkości: peryjod kwitnącego hebraizmu w czasach starożytnych i wieki średnie w dziejach chrześcijańskiej Europy. Ks. K. nic tu nie wspomina o siedmiuset żonach króla Salomona, o papieżach z domu Borgia, o średniowiecznej ciemnocie i feodalizmie, który, jak wiadomo, był najbardziej wyrafinowanym amalgamatem despotyzmu i niewolnictwa. Ludzkość była wtedy...... szczęśliwą..... a dziś, gdy zdaniem autora społeczeństwo niszczeje, rodzina upada i wszystko dąży do rozkładu, jedyną ucieczką i zbawczą deską — kościół, pojęty w katolicyzmie wraz z jego celibatem sakramentem małżeństwa i kanonicznym prawem o rozwodach. Całość książki d-ra Krechowieckiego jest w pojedyńczych epizodach wykończoną, naczelna myśl — konsekwentnie rozwinięta, a język — kaznodziejski i kwiecisty. Epizody traktujące o stanowisku kobiety wobec różnorodnych ruchów religijnych i widoków rzymskiego kościoła na szczególną zasługują uwagę.

A. G. B.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Obrębskiemu w Popielu Śpiewnik oddawna wyczerpany— początek hr. Elodyi posyłamy.

P. Roman w Wilnie. Higienę Kosmowskiego wysłaliśmy dnia 5 Lipca.

P. Obręb. w Popielni. Początek hr. Elodyi po raz drugi posyłamy—śpiewnik wyczerpany.

P. Przybo. w Rzeczycy. Do prenumeraty rocznej należy się jeszcze kop. 20.

P. Wyjci. w Kalwaryi. Higiena wysłana d. 4 Lipca. Filozofija pozyt. zaraz się ekspedyjuje.

P. Mar. Ign. w Nowogrodzie Gub. Mińsk. List z 2-a rub. do „Kłosów" oddany—kwit posyłamy.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.